

CLARK RUSSELL.

## W ODMĘTACH OCEANU.

2

Mr. Tembarth umilkł, lekko zmieszany. Matka moja z wdzięcznością spojrzała na niego, czując, że proboszcz staje po jej stronie. Kiedy w chwilę potem zaczął się żegnać, zaprosiła go, aby pozostał z nami na wieczór i zasiadł razem do wieczerzy. Proboszcz chętnie przyjął zaproszenie. Rozmowa jednak nie kleiła się, gdyż raz wraz gwałtowne poryki wicbru głużyły słowa. Nadsluchiwalismy nie spokojni. Ja co chwila spodziewałem się usłyszeć sygnał alarmowy, który powołać mnie miał na stanowisko.

Przed dziewiątą zaszedłem do mojego pokoju, wydobyłem z szafy strój marynarza, wdziałem grube pończochy i buty za kolana. Bluzę i czapkę wyniosłem do sieni, aby mieć je pod ręką w razie potrzeby.

Kiedy, ukończywszy te przygotowania, wróciłem do jadalni, uczulem na sobie badawczy wzrok Mr. Trembartha, podczas gdy matka moja zdawała się zupełnie nie zwracać uwagi na zmiany w moim ubraniu. Nakrywała w milczeniu stół do wieczerzy.

Po chwili zasiedliśmy do wieczerzy. Z trudem jedliśmy, starając się wzajemnie nie okazać niepokojów, jaki nas przejmował. Wszyscy myśleliśmy jednak ciągle o szalejącej burzy.

Nagle Mr. Trembarth urwał w pół słowa, widelec i nóż wypadły mu z rąk. Zerwał się przerażony.

— Co to było? — wykrztusił ze ściśniętego przerażeniem gardła.

— Sygnał alarmowy — krzyknąłem zelektryzowany. W tej chwili podmuch wiatru przyniósł wyraźnie kilka silnych tonów dzwonu, bijącego na trwogę.

Hug! — krzyknęła matka.

— Z Bogiem, matko! — zawołałem, biorąc ją w objęcia. — Ucałowałem ją serdecznie, uściśnięłem rękę Mr. Trembarthowi. W przelocie przez sieni, pochwytiłem płaszcz i czapkę, rozwarłem drzwi i nagle... znalazłem się na ulicy, ogłuszony prawie gwałtownym wyciem burzy, oślepiony deszczem i gradem, który bił mi prosto w twarz. Po chwili oswoilem się z tem niezwykłym otoczeniem. Po przez poświsty burzy dochodził mnie już wyraźnie gwałtowny głos dzwonu okrętowego, wzywający na ratunek. Spojrzałem na morze. W kierunku „Bliźniaków“ i skały Deadlow poruszał się słaby ogień.

Po chwili byłem już w łodzi i zająłem moje miejsce przy sterze.

— Naprzód bracia!

## W łodzi ratunkowej.

W blasku latarni, która z głębi szopy oświecała łódź, przeliczyłem oczyma mych ludzi i przekonałem się, że nie brakuje ani jednego. Spytałem jednak, jak zwykle:

— Wszyscy w łodzi?

— Wszyscy! — brzmiała jednogłośna odpowiedź.

— Czy wszyscy ubraliście się w ubranie korkowe?

— Wszyscy — odpowiedzieli chórem.

Sam ubrany byłem cokolwiek inaczej. Po jednorazowej próbie przekonałem się, że takie korkowe ubranie zbyt mi krępuje ruchy.

— Czy żagle są odwiązane i przygotowane do zaciągnięcia? — pytałem dalej.

— Wszystko przygotowane, panie!

— A lina do rzucania?

— Także.

— W takim razie baczność! bracia!

Nastąpiła pauza, która trwała może sekundę.

— Puszczaj — zakomenderowałem podniesionym głosem.

W tej chwili ostatnia lina, przytrzymująca łódź, została przecięta, opadły ostatnie łańcuchy z głośnym dźwiękiem, a łódź ruszyła po pochyłości ku morzu, z coraz bardziej wzrastającą szybkością. Dobrze naoliwione deski pozwoliły zesunąć się jej prawie bez szmeru. Z hukiem przyjęły ją fale, złapały gwałtownie i podrzuciły do góry, zalewając nas wszystkich chmurą słonego pyłu wodnego.

Z całych sił pracowaliśmy przy wiosłach, spychając łódź coraz dalej w morze, wreszcie skierowaliśmy ją w kierunku obcego okrętu. Nadlatujące fale, które z wściekłością odbijały się od brzegu utrudniały bardzo naszą pracę. Wreszcie po dobrej

chwili poczuliśmy pod łodzią już spokojniej wznoszące się i opadające morze.

Teraz dopiero znalazłem wolną chwilę, aby spojrzeć z powrotem ku wybrzeżu, któreśmy opuścili. Obok szopy, w której łódź była pomieszczona, zapalono duży stos drzewa, aby w ten sposób dać znać duńskiemu okrętowi, że wysłano mu ratunek.

Na sygnał ten odpowiedział okręt rakieta, której czerwone światło na chwilę rozprószyło nieprzeniknione ciemności. Po chwili i na pokładzie „Aniny“ zapalono ogień, aby nam wskazać kierunek, w którym spieszyć mieliśmy z ratunkiem. Była to beczka smoły, a w jej niepewnym świetle ujrzałem dokładnie nieszczęśliwy okręt, walczący z całym wysiłkiem przeciw naporowi fal i wichru. Deszcz i grad, bijący bez przerwy, otaczał okręt jakąś fantastyczną osłoną.

— Rozbijają się o „Bliźniaki“, nim zdążymy do nich podjechać — krzyknął nagle jeden z moich ludzi. Zaklął przy tem po marynarsku. Drugi dorzucił z wściekłością:

Dlaczegoż ci przekłeci Duńczycy wcześniej nie wezwali pomocy? Założyłbym się jeden przeciw dziesięciu, że przybędziemy za późno.

Porozumiewaliśmy się, krzycząc na całe gardło, gdyż huk burzy i świst wiatru głużył zupełnie głos. Wicher wyrwał nam formalnie słowa z ust, tak, że trzeba było donośnie krzyczeć, aby jeden drugiego dosłyszał. Morze rozpętało się tak, jakim już od szeregu lat go nie widziałem. Olbrzymie bałwany porywały nas co chwila, wznosząc na swych grzbietach do strasznej wysokości, tak, że aż się w głowie kręciło. Nagle znowu spadałymi w przepaść, a woda zalewała nas, a przez chwilę nic ani słyszeć, ani widzieć nie można było.

Ani na chwilę nie straciliśmy jednak zimnej krwi. Jakby przyrośli, pracowali moi ludzie przy wiosłach. Rozszalałe fale zalewały ich, przenikając ubranie aż do skóry. Wszyscy jednak mieli nieprzerwanie zwrócone oczy w tę stronę, gdzie błyskało ku nam niepewne światło sygnałowe „Aniny“. Sygnał ten widzieliśmy zawsze w chwili, gdy fala wynosiła nas na swym grzbiecie w górę.

Długą chwilę pracowaliśmy tak z całem wytężeniem sił. Zbliżyliśmy się o tyle do duńskiego statku, że mogliśmy dostrzedz w rejach przedniego masztu szereg postaci, uwieszonych nad burtą statku.

Sternik zapalił nagle na statku zielony ogień bengalski, którego trupie światło jaskrawo oświetliło statek i ludzi.

— Żagiel w dół! — zakomenderowałem i zręcznym zwrotem steru przybliżyłem łódź naszą na odległość trzydziestu stóp od Duńczyka.

— Rzuć kotwicę! — Złóż maszt! — Przyciągaj linę kotwiczną! — brzmiały dalsze rozkazy, które spełniono szybko i zręcznie. Po kilku minutach przybiliśmy do boku statku i próbowaliśmy się porozumieć z wiszącymi nad nami ludźmi.

O ile mogłem rozróżnić przy niepewnym świetle płonącej beczki, siedziało sześciu czy siedmiu ludzi wśród lin przedniego masztu, kilku innych wisiało nad burtą statku, u lin masztu tylnego. Tuż za okrętem z odmetu fal wyłaniały się straszne „Bliźniaki“, a z każdą minutą zmniejszała się odległość między „Aniną“ a skałami. Nie było ani chwili do stracenia, jeśli chcieliśmy ratować siebie i załogę duńskiego okrętu. Jeszcze chwila, a mogło być za późno.

— Skaczcie! — hej ludzie! — skaczcież, na Boga! — zaczęliśmy wrzeszczeć na całe gardło.

Dłuższa chwila jednak upłynęła, zanim zziębnięci i przerażeni majtkowie Duńczyka zrozumieli, o co nam chodzi. Wreszcie jeden z nich odważył się pierwszy i skoczył. Po nim skoczył drugi, dalej trzeci. W krótkich odstępach czasu, ilekroć razy fala podrzucała naszą łódź ku górze, skakali inni. Wreszcie na dnie „Joanny“ zebrał się kłęb kilku nastu postaci ludzkich, które, drżąc z zimna, jęczały i narzekały na różne tony.

— Naprzód teraz, bracia! Podpłynijmy teraz ku tyłowi statku! — zakomenderowałem.

— Tam już nie ma nikogo, panie! — zawołał jeden z moich ludzi.

Spojrzałem uważnie w górę i zdawało mi się, że ma on rację. Nie mogłem już nikogo dostrzedz na pokładzie. A jednak miałem wrażenie, że przed chwilą ktoś tam jeszcze był.

— Czy jest kto jeszcze na pokładzie? — krzyknąłem do uratowanych.

Któryś odpowiedział mi drżącym głosem, ale tak niewyraźnie, że nie dosłyszałem odpowiedzi w huku burzy.

— To chyba muszą być wszyscy — tłumaczyli moi ludzie — pokład jest pusty. Jeśli jeszcze byli jacyś ludzie, to pewno uratowali się na łodziach ratunkowych statku.

Olbrzymi bałwan podniósł w tej chwili „Joannę“

tak wysoko, że mogłem dokładnie przejrzeć cały pokład Duńczyka. Był pusty. Przeczekałem jeszcze do następnej fali, aby i moi ludzie o tem mogli się przekonać. I wtedy także nie zauważyliśmy na „Aninie“ nikogo.

— A więc naprzód! bracia! — rzuciłem rozkaz i ująłem ster w ręce.

W tej chwili nad burtą okrętu duńskiego ukazała się ludzka głowa, a donośny głos młodego chłopca zawołał do nas w czystym angielskim języku:

— Na miłość Boską! nie opuszczajcie nas! Mój ojciec leży chory i bezradny w kajucie.

Przeraziłem się ogromnie.

— Ilu was jest jeszcze na pokładzie? — zawołałem.

— Dwóch.

Nagle bałwan porwał nas w dół i ujrzelismy bok statku, jak gigantyczny mur, wznoszący się przed nami na jakie pięćdziesiąt stóp w górę. Nad nami słyszeliśmy wyjąca burzę.

Czy może twój ojciec wyjść na pokład? — krzyknąłem, kiedy nowa fala podniosła nas w górę.

— Nie, nie może się zupełnie ruszać. Trzeba go wynieść, — wołał żalonym głosem młody chłopak.

— Na Boga, bracia, niema w takim razie chwili do stracenia — krzyknąłem na mych ludzi. — Musimy tego nieszczęśliwego jakoś wydobyć, a i tego chłopca także. Dalej, trzech niech idzie za mną!

Kiedy łódź na grzbiecie fali podniosła się do wysokości pokładu, skoczyłem odważnie, czepiając się lin, zwieszających się od masztu i stanąłem na statku. Stało się to tak szybko, że miałem jeszcze czas zabezpieczyć się przed nową falą, która ze strasznym hukiem zwałała się na pokład, a która na pewno byłaby mnie zmiotła.

Ponieważ przypuszczałem, że towarzysze moi pospieszają za mną, skoro tylko będą mogli, nie czekałem na nich, ale pospieszyłem szybko ku młodymu chłopakowi, który stał na pokładzie przy schodach prowadzących do kajut. Nagle uczulem gwałtowne uderzenie, które wstrząsnęło całym statkiem, a które było tak silne, że mnie o mało z nóg nie zważyło.

— Statek wpadł na skały! — Taka pierwsza myśl przebiegła mi przez głowę. W tej chwili jednak usłyszałem z boku statku, z morza, przeraźliwy krzyk gromady ludzi, który zniżył mi krew w żyłach. Skoczyłem do balustrady pomostu i spojrzałem w dół na spienione bałwany. Ku memu przerażeniu nie dojrzałem jednak nic. Fale, rozpętane burzą, przewracały i bałwanili się podemną. Wtem obok statku wynurzyła się łódź nasza, ale przewrócona. Pokazała się oczom moim na chwilę i zniknęła w głębiach Oceanu.

Zrozumiałem! Stała się rzecz straszna. „Joanna“ rzucona przez fale, uderzyła w bok statku, strzasła się i poszła na dno. Wraz z nią zaś zginęli w głębinach i moi ludzie i uratowana załoga Duńczyka.

Zaledwie panując nad sobą, krzyknąłem do młodego chłopca:

— Łódź rozbiła się, załoga walczy z falami. Prędko! Rzucaj pasy ratunkowe i liny!

Skoczyłem następnie na górny pokład i wychyliłem się jak najdalej poza burtę.

Nie dostrzegłem jednak nic. Tylko morze huczało podemną. Tu i ówdzie na powierzchni, zdawało mi się przez chwilę, że widzę, w niepewnym świetle płonącej beczki smoły, jakieś czarne punkty, pływające na falach, ale i te znikły szybko, nim jeszcze mogłem im się dokładnie przypatrzeć.

Skamieniały, stałem w miejscu, a serce moje ścisnęło się gwałtownie na myśl, że moi towarzysze zginęli. Bez ruchu wpatrywałem się w ciemności, aż zbudził mnie z odrętwienia głos młodego marynarza.

— Cóż teraz będziemy, robili? — pytał, zalamując ręce.

— Nic — odpowiedziałem, z trudnością dobywając głosu. — Oby Bóg dał, żeby fala jak najwięcej ich wyrzuciła na brzeg. Moi ludzie mają wszyscy pasy korkowe i mogą się uratować, zwłaszcza, że wiatr dmie ku wybrzeżu. Wasi ludzie zapewne wszyscy zginęli.

— I my także! — dorzucił rozpaczliwie. — Tuż za naszym statkiem sterczą skały, na których każdej chwili możemy się rozbić. Czy pan jest marynarzem?

— Nie. — Między pracą marynarza, a obsługą łodzi ratunkowej jest przecież wielka różnica.

— O ty miły Boże! Cóż my teraz pocniemy!

Bolesć, jaka po stracie moich towarzyszy mnie opanowała, musiała wreszcie ustąpić wobec budzącej się instynktownie samowiedzy, że życie me jest w niebezpieczeństwie. Energicznie otrząsnąłem się